



Memoria est vis magna

Tomasz Wołek

14 października 1947 – 21 września 2022

Janusz Burza

Początkowo wspomnienie o Tomku miało być wspomnieniem zbiorowym Stowarzyszenia Absolwentów Historii UG im. Profesora Romana Wapińskiego, którego Tomek był aktywnym członkiem. Jednak na skutek różnych zawirowań wspomnienie to będzie indywidualne. Moje osobiste.

Od kilku lat żyłem w przeświadczeniu, że nad moim grobem wspomnienie pośmiertne wygłosi Tomek – najlepszy mówca w Stowarzyszeniu. Jest mi teraz niezwykle trudno, by to wspomnienie wyartykułować osobiście.

Tomka poznałem na początku października 1967 roku, kiedy to obaj rozpoczęliśmy studia na pierwszym roku historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku. Od początku coś nas do siebie przyciągało. Usiedliśmy w jednej ławce. On, znawca wielkiej literatury francuskiej – począwszy od średniowiecza. Ja, „znawca” wielkiej literatury amerykańskiej XX wieku. Połączył nas Jarosław Haszek, a osobiście Józef Szwejk. Dla obu wylądowanie na historii nie było pierwszym wyborem. Obaj byliśmy matołami matematycznymi. Obaj ze wszystkich przedmiotów ścisłych byliśmy strasznie cieni.

Tomek uczęszczał do II LO na ul. Pestalozziego w Gdańsku-Wrzeszczu. Za pierwszym podejściem do matury oblał matematykę. Za drugim podejściem matematykę ledwo zdał. Tomek – zero matematyczne, niczego nienauczony – za namową „Czifa” – Józefa Wołka, ojca Tomka, biologa, bodajże ichtiologa po UJ-ocie – zdawał i zdał egzamin wstępny do Państwowej Szkoły Rybołówstwa Morskiego

w Gdyni. Królowała tam matematyka, fizyka, astronomia, nawigacja i astronawigacja. Tomek wykonał tam ruch z rodzaju tych, z których później zasłynął. Nie chcąc brać udziału w zaprawach porannych, wmówił instruktorowi WF por. ż.m. Jurkowlanćowi, że cierpi na „frustalupię” prawego kolana. Por. Jurkowlaniec, który lubił uchodzić za człowieka wiedzącego wszystko, pokiwał głową i zwolnił Tomka z zapraw porannych.

Na roku Tomka astronawigację wykładał kpt. ż.w. Karol Olgierd Burchardt, który większość studentów zaliczał do kategorii czajników lub czołgów. Według kapitana Burchardta studenci czajniki „czaili się” w ostatnich ławkach sali, a studenci czołgi „czołgali się” na trójczynach. Mimo prawie zerowych postępów w astronawigacji kapitan Burchardt polubił Tomka, a połączyła ich literatura francuska. Kapitan poradził mu, aby przeniósł się na uczelnię humanistyczną i w ten sposób Tomek trafił na historię.

Tomek był wielkim miłośnikiem piłki nożnej, szczególnie południowoamerykańskiej, a osobliwie argentyńskiej i brazylijskiej. Miłość ta była poparta olbrzymią wiedzą. W czasie długich godzin wykładów w specjalnym zeszycie rysował mi i opisywał setki meczów lig argentyńskiej, brazylijskiej, peruwiańskiej, chilijskiej, paragwajskiej i kolumbijskiej. Skąd czerpał te tysiące informacji – nie wiem. Wiem tylko, że w kioskach kupował systematycznie czasopismo radzieckie „Futbol i Hokiej”, ale to nie tłumaczyło tak znakomitej znajomości piłki południowoamerykańskiej.

Tomek miał cudowną umiejętność zdawania egzaminów. Posiłkował się znajomością wielkiej literatury światowej. Uczył się głównie „na giełdzie”, czyli przed drzwiami egzaminatorów. Sam czytał tylko to, co go zainteresowało. W czasie egzaminów bywał bezczelny i jak to się mówi „miał tupet”. Przykładem niech będzie egzamin z archeologii na I roku i ćwiczenia z historii Polski na IV roku. Obu zdarzeń byłem naocznym świadkiem. Na egzaminie z archeologii odbywanym w Muzeum Archeologicznym u dyrektora muzeum dr. Jana Leona Łuki, wśród archeologów szwedzkich badających dzieje osadnictwa wikińskiego w Szwecji, Tomek wymienił całą pierwszą piątkę drużyny zawodowej w hokeju na lodzie z miasta Malmö. Wiadomości czerpał z czasopisma „Futbol i Hokiej”. Doktor Łuka pokiwał z aprobatą głową i Tomek dostał na egzaminie z archeologii ocenę bardzo dobrą.

W miesiącach letnich 1970 roku odbyły się w Meksyku Mistrzostwa Świata w piłce nożnej. Mistrzem świata została Brazylia, która w finale pokonała Włochy 4:1. W październiku lub listopadzie 1970 (IV rok) podczas ćwiczeń w obecności asystentki Tomek wymieniał najznakomitszych malarzy włoskich okresu renesansu. Jako pierwszego wymienił Tarcischo Burgnicę, od razu wiedziałem, że następny będzie Giuseppe Morini, potem Romeo Benetti, a na końcu Giachinto Facchetti. Tomek wymienił po prostu całą formację obronną drużyny włoskiej. Asystentka przyjęła odpowiedź Tomka bez zmruczenia oka.

Podczas właściwie całych studiów Tomek pisywał artykuły do „Przeglądu Sportowego” i „Piłki Nożnej”. Były to zawsze artykuły problemowe, które przed zamieszczeniem miały być przedyskutowane z członkami redakcji ww. gazet. Tomek więc swe

artykuły woził do Warszawy osobiście. Przez cały okres studiów Studium Wojskowe mieliśmy zawsze w środy. Każde zajęcia zaczynały się apelem porannym na placu apelowym Studium Wojskowego. Jest środa rano, wiosna roku 1970, apel prowadzi dowódca naszej baterii mjr Jan Śliwiński. Tomek się spóźnia, w trakcie apelu przechodzi na teren SW przez płot ze stalowej siatki, wygląda jak typowy Szwejk: pomięta gabardynowa czapka, długi sukieny płaszcz – rozerwany w jednym miejscu, torba artyleryjska w rękach – bo ma porwane pasy transportowe. Tomek doszłusowuje do baterii. Major Śliwiński udaje, że tego nie widzi, ale w pewnym momencie zadaje sakramentalne pytanie: „Czy są pytania?”. Pytanie ma Tomek: „Czy może się zwolnić z ostatniej godziny zajęć, bo musi zawieźć (samolotem) artykuł do »Przeglądu Sportowego«”. Majora Śliwińskiego o mały włos szlag nie trafił. Na plac apelowy wkracza płk Edward Motak – kierownik SW – i pyta, czy są jakieś problemy. Major Śliwiński każe wystąpić Tomkowi z szeregu i mówi, że się spóźnił, przechodził przez płot, wygląda tak jak wygląda i chce się zwolnić z ostatniej godziny, aby zawieźć artykuł do gazety. Pułkownik Motak chwilę milczy, a potem przed frontem całej baterii mówi: a może ten student ma istotne powody? Rezultat. Tomek leci do Warszawy. Na marginesie, mjr Śliwiński zwolniłby Tomka nawet bez interwencji płk. Motaka z dwóch powodów – był dla nas jak ojciec i był dumny, że ma w baterii studenta, który publikuje w „Przeglądzie Sportowym”.

Gdzieś tak od III roku studiów u Tomka i u mnie prawie jednocześnie pojawiło się zainteresowanie historią wojen i wojskowości. Zainteresowanie to bardzo szybko przerodziło się w pasję, gdy od początku IV roku do Instytutu Historii trafił znany już wówczas historyk wojen i wojskowości, ówczesny doktor Jerzy Romuald Godlewski, i objął na naszym roku wykład monograficzny poświęcony historii wojen i wojskowości. Nie muszę dodawać, że w kole naukowym historyków, razem z Tomkiem, założyliśmy sekcję historii wojen i wojskowości, której opiekunem byli ówczesny doc. dr hab. Bogusław Cygler i właśnie dr Godlewski. Z dr. Godlewskim mnie i Tomka, na kanwie fascynacji przygodami dobrego wojaka Szwejka, połączyła szybko nić przyjaźni. Tak się również dla nas szczęśliwie złożyło, że na początku roku akademickiego 1970/71 do Studium Wojskowego ze stanowiska Szefa Artylerii 7 Łużyckiej Dywizji Obrony Wybrzeża trafił ppłk. dypl. Witold Sykut, który został wykładowcą taktyki działań artylerii. Doskonały gawędziarz i wielbiciel Józefa Szwejka, a przy tym wojen i wojskowości. Bardzo szybko z ppłk. Sykutem Tomek i ja zaprzyjaźniliśmy się.

Na początku stycznia 1971 do Koła Naukowego Historyków przy Instytucie Historii UG dotarła informacja, że w dniach 12–16 maja 1971 Uniwersytet Śląski w Katowicach organizuje II Ogólnopolskie Studenckie Seminarium Politologiczne „Komuna Paryska”, połączone z I Ogólnopolskim Zjazdem Kół Naukowo-Politycznych. Kierownictwo Instytutu Historii na to seminarium wydelegowało dwóch przedstawicieli sekcji historii wojen i wojskowości Koła Naukowego Historyków UG w osobach Tomasza Wołka i Janusza Burzy. Tomek przygotował referat „Komuna Paryska z punktu widzenia wojskowości”, a ja przygotowałem referat „Udział Polaków w czynie zbiorowym

Komuny”. Opiekunem naukowym obu referatów był ówczesny doc. dr hab. Bogusław Cygler. Na tym sympozjum UG reprezentowało tylko nas dwóch, ponieważ doc. Cygler wypełniał w tym czasie inne obowiązki. Na sympozjum nasza dwuosobowa delegacja zaprzyjaźniła się z delegacją z Uniwersytetu Warszawskiego w składzie Janusz Kijowski, Tomasz Nałęcz, Jurek Halberstad i Andrzej Biernat. Przyjaźnie zadziergnięte ze studentami UW przetrwały wiele lat.

Za sprawą przygotowanych na sympozjum w Katowicach referatów Tomek i ja odnieśliśmy jeszcze jedną korzyść. W miesiącach kwietniu i maju byliśmy zwolnieni z zajęć w Studium Wojskowym, bo w ramach zajęć politycznych nasze referaty wygłaszaliśmy seriami we wszystkich plutonach naszej baterii, była to bowiem setna rocznica założenia Komuny Paryskiej.

Tomek na trzy lata obecności w Kole Naukowym Historyków ani razu nie był na letnim obozie naukowym. Jedyny, na jakim był, odbył się w lecie 1972, już po obronie przez nas wszystkich prac magisterskich. Na obozie dominowali członkowie sekcji historii wojen i wojskowości, a celem obozu było zbieranie świadectw od żyjących jeszcze uczestników plebiscytu na Powiślu w dniu 11 lipca 1920 i prace terenowo-studialne dotyczące działań wojennych podczas wojen polsko-szwedzkich w początkach XVII wieku. Dla nas jednak najważniejsze były wieczory. Zawsze rano, od 5 do 7, łowiliśmy małe jazgary w jeziorze Sztumskim w ilości 80–90 sztuk. Panie z kuchni je oprawiały i smażyły. Po kolacji podawały na olbrzymiej patelni. Do rybek dokupowaliśmy chleb i 1 l wódki. W biesiadzie brali udział dr Godlewski, Tomek, ja i jeszcze dwóch kolegów. Wszyscy obecni byli wielkimi znawcami Szwejka. Po położeniu się do łóżek ok 22:00 przez ok. 2 godziny recytowaliśmy Szwejka, bo każdy z nas znał na pamięć całe strony.

Od samego początku lat osiemdziesiątych do samego kresu życia Tomka kontaktowaliśmy się w sposób stereotypowy. Jak on miał przyjechać do Gdańska, to dzwonił i umawialiśmy się u mnie przy ul. Wojska Polskiego, jak ja jechałem do Warszawy, to ja dzwoniłem i umawialiśmy się u niego przy ul. Miedzianej na Ochocie. Spotkania te zawsze były wielogodzinne i rocznie odbywało się ich przynajmniej kilka. Koledzy i przyjaciele dziwili się, jak systematycznie mogli się spotykać i rozmawiać znany opozycjonista i „komuch”. Mogli i spotykali, i nigdy się nie kłócili. Tajemnica naszych spotkań wynikała z faktu, że myśmy nigdy nie rozmawiali o polityce. Ja wiedziałem, że on jest opozycjonistą w stosunku do PRL, o zabarwieniu prawicowo-liberalnym, który zaopatruje mnie w literaturę bezdebitową, na czele z paryską „Kulturą”. On wiedział, że pracowałem w MO i byłem członkiem PZPR. Nam to wszystko nie przeszkadzało. Mieliśmy multum tematów do wielogodzinnych rozmów. Poezja i w ogóle literatura, historia wojen i wojskowości – a szczególnie tematy związane z Wielką Wojną, ale i podróże po świecie, sport i wreszcie dziewczęta.

Te nasze spotkania w latach osiemdziesiątych miały dla mnie przykre konsekwencje. W lipcu 1988 roku, gdy już było widać, że „komuna” za długo nie pociągnie,

Inspektorat Ochrony Funkcjonariuszy WUSK wszczął przeciwko mnie postępowanie z dwoma zarzutami – utrzymywanie kontaktów z opozycją (Tomek) i cudzoziemcami (narzeczony Niemiec mojej córki przyrodniej Ewy). Oczywiście oficjalnie zarzutów nigdy nikt mi nie postawił, ale konsekwencje poniosłem. Po pierwsze, nie doszedł do skutku mój awans, po drugie zostałem przeniesiony z prestiżowego Wydziału Specjalnego do wydziału spluwaczki – Prewencji. Przeniesienie nastąpiło bez postawienia mi zarzutów, o których dowiedziałem się na początku lat dziewięćdziesiątych od kolegów z byłego wydziału „T”-podśluchy i „B”-obserwacja, którzy uczestniczyli w czynnościach przeciwko mnie. Ten incydent nie miał żadnego wpływu na moją przyjaźń z Tomkiem.

W latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych spotykaliśmy się tak samo jak w osiemdziesiątych z tą różnicą, że w Gdańsku spotykaliśmy się w lokalach gastronomicznych.

Moją długoletnią przyjaźń z Tomkiem niech spuentuje anegdotka z życia wzięta. W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych mój ówczesny przełożony Kazik O. wyraził pragnienie poznania Tomka. Przy najbliższej bytności Tomka w Gdańsku zaaranżowałem spotkanie w jednym z gdańskich lokali gastronomicznych, gdzie spędziliśmy cudownych kilka godzin. Następnego dnia Kazik wysunął przeciwko mnie zarzut, że mówiłem o przyjaźni z Tomkiem, podczas gdy wszyscy jesteśmy na „pan”. Wyjaśniłem mu wówczas, że zarówno podczas studiów, jak i po ich zakończeniu zwracaliśmy się do siebie albo pseudonimem, albo „per pan”. Tak że Tomek był dla mnie „Panem Wołkiem”, a ja dla niego „Panem Burzą”.

Całe wspomnienie o Panu Wołku napisałem na zasadzie zwischenrufu. Nie muszę chyba dodawać, że była to ulubiona forma wypowiedzi Tomka.

Gdańsk, 17 lipca 2023